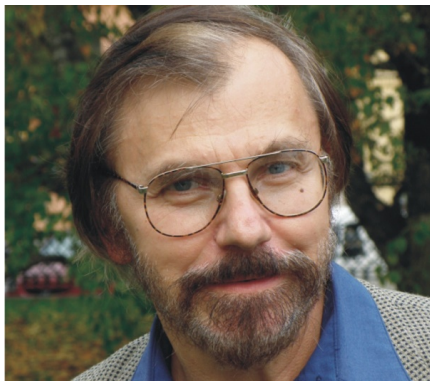


Listy do Pani A. (138)



Wstyd przed dozorcą

Droga Pani!

Niedawno byliśmy z Anią na wieczorze autorskim Józefa Hena. Spotkanie wyśmienite, pełne anegdot, szczegółów biograficznych, które pisarz ujawniał z właściwym sobie humorem, swadą, jednocześnie zadziwiająco znakomitą pamięcią. Od lat znam, pisarza. Znajomość zaczęła się w momencie, kiedy dostałem polecenie redakcyjne, aby przeprowadzić z nim wywiad. Od tego czasu spotykaliśmy się w bibliotece Związku Literatów, czasami w kawiarni „Ambasador” w Alejach Ujazdowskich. Kilka rozmów z nim zrobiłem, na tematy przeważnie literackie, choć trudno się było ustrzec od nawiązań do ówczesnych wydarzeń bieżących. Publikowałem je m.in. w „Plusie i Minusie” i „Aneksie”. Nigdy nie miałem kłopotów z autoryzacją, a był to czas, kiedy przestałem używać magnetofonu, i bazowałem wyłącznie na ręcznie sporządzanych notatkach. Nie wiem, czy teraz dałbym tak radę.

A to wrocławskie spotkanie w „Prozie” miało też wiele wątków wspomnieniowych. Odmalował więc pisarz atmosferę warszawskiej kamienicy, której mieszkańcy byli bardzo życzliwi. Kiedy przychodziło Święto Namiotów, upamiętniające ucieczkę Izraelitów z Egiptu, chrześcijanie oraz Żydzi w wielkiej zgodzie wspólnie budowali szałas.

Życie kamienic oraz podwórek miało swój niepowtarzalny charakter, rzec by: etos, dzisiaj niepowtarzalny. W domu Henów był surowy dozorca. Dziś nie wszyscy wiedzą, że była to najwyższa instancja, bo dbał nie tylko o porządek, ale i o pewien „ład moralny”. A trzeba wiedzieć, że dawniej zamykano na noc bramy domów. Aby wejść po ustalonej godzinie, trzeba było dzwonić, a potem się okupić otwierającemu drzwi, „dyrektorowi podwórza”. U Henów utarło się powiedzenie, gdy ktoś późno wracał, a zwłaszcza młodzież: „wstyd przed dozorcą”. Obfitowało to spotkanie w dużą ilość anegdot i bon motów. Przyznam się Pani, że zatęskniłem do dawnych, niezapomnianych czasów, które znam tylko z lektur, ale one są jakby zupełnie moje.

Nawet nie odczuwaliśmy, że minęły więcej niż dwie godziny. A potem podeszliśmy z Anią do pisarza, aby się przywitać, i znowu mówłem z nim porozmawiać, jak dawniej.

A tu już kolejny rok na karku. Pani jeszcze nie odczuwa żadnego ciężaru, ale ja już tak. Choćby rozkojarzenie. Oto w poprzednim liście pisałem o wywiadzie z Wacławem Oszajcą, który to wywiad przeprowadził z jezuitą Damianem Jankowski. Nie wspominałem natomiast, iż rzeczona rozmowa ukazała się w książce „Innego cudu nie będzie. Rozmowy o wierze i niewierze”, wydanej w 2019 roku przez krakowskie WYDAWNICTWO WAM, a liczącej 222 strony. Uzupełniam to, aby ułatwić dotarcie do tej świetnej pozycji, do której sam raz po raz wracam. Tak więc przepraszam za to przeoczenie.

Nie zapomniałem jednak o recitalu Włodzimierza Sztokmana. Włódka poznałem już dawno na jednej z Galicyjskich Jesieni Literackich, w której corocznie bierzemy udział. Znakomity artysta, poeta, bard rosyjski od lat mieszkający w Krakowie, bardzo serdeczny i sympatyczny człowiek. Czekam zawsze na jego występy wprowadzające w liryczny, poetycki nastrój. A kiedy dwa lata temu miałem wieczór autorski „Pod Katarynką” w Krakowie, zrobił mi dużą niespodziankę swoim przybyciem. Dał moim wierszom oprawę wokalnno-muzyczną, i całe spotkanie nabrało innego wymiaru.

Teraz Włodek przyjechał z żoną, Anną Sławęcką oraz z córką. Wystąpił we wrocławskim Klubie PROZA śpiewając wiersze Natalii Gorbaniewskiej (1936-2013), rosyjskiej poetki, dziennikarki, tłumaczki literatury polskiej, dysydentki, a po prześladowaniach ze strony radzieckiego reżimu – emigrantki, wielkiego przyjaciele naszego kraju. Proszę sobie wyobrazić, że do końca życia miała polskie obywatelstwo. Tradycyjnie we Wrocławiu, z którym była bardzo związana, w rocznicę jej śmierci odbywają wieczory wspomnień, koncerty, spotkania z jej poezją. I właśnie w tym roku z udziałem Włódka Sztokmana. Jako Rosjanin znakomicie interpretował poezję Gorbaniewskiej. Śpiewał także pieśni innych bardów m.in. Bułata Okudźawy czy Włodzimierza Wysockiego. Wszystko to wypadło znakomicie, szkoda tylko, że nie było tłumów. Ale te „tłumy”, które były obecne, są o wiele cenniejsze od tłumoków, które nie przyszły. Włodek nawet woli koncerty kameralne od jakichś wielkich „stadionowych” spędów. Wie, że śpiewa dla ludzi wrażliwych, którzy chcą słuchać, wzruszać się muzyką i słowem.

Podobne odczucia towarzyszyły mi podczas spotkania autorskiego z Urszulą Koziół, wybitną poetką od lat mieszkającą we Wrocławiu. Przyszło mniej więcej dwadzieścia osób, przynajmniej tyle udało mi się naliczyć. Poetka czytała swoje wiersze, najpierw najwcześniejsze, nierzadko o wyraźnych akcentach publicystycznych. Przypomniała wiersze pisane w stanie wojennym, będące ostrym protestem przeciwko politycznej sytuacji. Pewnie się Pani zdziwi, kiedy napiszę, że utwory te trafiały do mnie. Tyle razy mówiłem, że nie lubię poezji publicystycznej, a już na pewno takiej, która powstawała w tym okresie, taka nienaturalnie cierpiętnicza,

ponura, podszyta strachem i nienawiścią. A u Koziół inaczej. W jej wierszach wprawdzie jawi się codzienność ze swoimi trudnościami, ale owa „publicystyczność” jest podszyta głęboką refleksją i liryzmem. Przy całej oszczędności słowa, ostrości widzenia, twórczość Urszuli Koziół nie traci walorów poetyckich, jest bardzo naturalna, nie ma w niej nic sztucznego.

Prezentowała też poetka kilka utworów z ostatnio wydanego tomu „Znikopis”. To z kolei wiersze o charakterze elegijnym. Przemijanie i jego bezpowrotność, nieuchronność, nieprzewidywalność – to motywy tych wierszy, a jednocześnie poszukiwanie nadziei na bytowanie alternatywne w innej przestrzeni, tej nieprzemijalnej, niezniszczalnej. Te wiersze nie są „smutne”, raczej poważne. A jednocześnie jest w nich miejsce na swoisty żart, poetyckie olśnienie, na „dziwienne się słowom”, co Zbigniew Bieńkowski określał humorem poezji, który nie ma nic wspólnego z żartem sytuacyjnym czy kabaretowym.

Porozmawiałem z poetką, przypomniała sobie nasze poprzednie spotkanie, kiedy to przedstawiłem jej Anię Musz, bardzo bliską kuzynkę zmarłego w ubiegłym roku świetnego poety, pisarza, i zarazem lekarza Jerzego Bogdana Kosa, z którym pani Urszula Koziół była zaprzyjaźniona. Do dziś zresztą utrzymuje kontakt z jego żoną, doktor Danutą Kos. Więc Urszula Koziół ucieszyła się z mojej ponownej wizyty na wieczorze (Ania nie mogła przyjść, bo była bardzo zainfekowana, w dodatku miała migrenę). Pani Urszula napisała nam dedykacje – dla mnie na „Znikopisie” *Panu Stefanowi po starej znajomości, serdecznie a dla Ani na „Horrendum”: Pani Annie w pierwsze dni zimy...*

A koniec starego i początek zaczynającego się roku upływa mi w atmosferze lektur. Książka Wacława Oszajcy, wiersze Urszuli Koziół, biografia Himilbsbacha, wielka i szczegółowa biografia Jarosława Iwaszkiewicza napisana przez Radosława Romaniuka, a także książka Aleksandra Nawrockiego „Jakucja i ja” czy opowiadania Andrzeja Olasa, to wszystko czytałem i czytam jeszcze, starając się ustrzec przed codzienną monotonią. I jeszcze Nobel dla Olgi Tokarczuk!

Zatem życzymy sobie, aby zaczynający się rok również obfitował w znaczące dla kultury wydarzenia oraz w nasze małe szczęścia osobiste –

Stefan Jurkowski



Rys. Barbara Medajska